

Ławeczka Józefa Barana (16)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

[Z listu I Bogdana Madeja]:
Lublin, 5 września 1989

Drogi Józku,
nasze listy minęły się w drodze, ale też mój oczekiwał na Ciebie w Krakowie, kiedy jeszcze przebywałeś w Borzęcinie. Dziękuję Ci za ten pisany ołówkiem, właśnie wczoraj do mnie doszedł. Poruszyło mnie jednocześnie to, co w nim piszesz, więc piszę do Ciebie na gorąco.

Mniejsza o politykę, bo to, co się w tej chwili dzieje, to stadium zaledwie początkowe z zawierającymi się w nim możliwościami progresywnymi i wstecznymi, tkwiącymi w możliwościach obydwu ścierających się stron – nie jestem zachwycony tym, co się dzieje, nazbyt dobrze znam obie strony, aby mieć jakieś zasadnicze zasadnicze złudzenia co do rozwiązań, jakie są generalnie możliwe i jednocześnie generalnie niemożliwe. To się nadaje na pogawędkę, jeżeli w ogóle w pogawędce do czegokolwiek poza repetycją abecadła można dojść. W każdym razie obawiam się też, chyba nie bezpodstawnie – że rychłych zwiastujących nam ostrożniejsze recepty nie brakuje, natomiast brak mi przekonania, czy stawiane diagnozy, dość dalekie od znajomości medycyny, są słuszne. Nie mamy na to wpływu, nie za wiele znaczą nasze opinie. Istotniejsze wydaje się coś innego w Twoim liście i jak napisałem już wyżej, bardzo mnie to poruszyło, bo wydaje mi się bardzo niepokojącym znakiem czasu.

Napisałeś w liście, że umiera w Tobie poeta. Oczywiście, nie biorę tego poważnie, czy coś w nas umiera, czy nie, dopiero czas może pokazać, przyjmuję Twoje niespokojne stwierdzenie za jedno ze świadectw ogólniejszego stanu rzeczy. Twoje wyznanie ma charakter prywatny i osobisty, mnie się natomiast wydaje, że z natury o wiele ogólniejsze.

Przypomina mi się stwierdzenie Sandauera, że nasz naród jako kultura się kończy. Rzecz prosta, nie pytam go, w jaki sposób i czym ze chciałby uzasadnić to kategoryczne i budzące lęk stwierdzenie – nie czułem potrzeby stawiania takich pytań, bo istota rzeczy jest ważniejsza, a tę od pewnego czasu nosiłem w sobie odnotowaną jako jeden z najistotniejszych problemów stojących przed naszą kulturą i współczesną twórczością. Wiąże się to w sposób organiczny z pewnymi kwestiami, które parę lat wcześniej wydały mi się na tyle niepokojące i ważne, że dałem im wyraz na piśmie. Wybierając się kiedyś do Warszawy, a jak się okazało, miało to być moje przedostatnie widzenie z Sandauerem, zabrałem ze sobą rodzaj szkicu liczącego szesnaście stron maszynopisu, nazwanego przeze mnie Intelktualiści i myśl niezależna w Polsce, napisanego albo w roku 1983, albo 1984. Byłem ciekaw, jak to nasz profesor odbierze. Nie byłem zaskoczony, kiedy go uważnie przeczytał, oznajmił, że jest to bardzo interesujące i że powinienem ten tekst opublikować. Rzecz jasna, po napisaniu tego szkicu, na zamówienie zresztą, okazało się, że nie jest to tekst dla naszych opozycyjnie zorientowanych przyjaciół strawni, chociaż nie byłby strawni wówczas i dla dyrygentów z drugiej strony tej, tak bardzo jednak umownej, barykady. Miałem honor zetknąć się poprzez moje teksty nie z jedną, ale z czterema cenzurami, tekst więc, choć zamówiony nie ujrzał dziennego światła (...)

Wydało mi się, że mamy do czynienia (my wszyscy postrzegający cokolwiek, postrzegający więcej za fasadą i częścią naziemną budowlą) ze stadium generalnej dekadencji i wtórności naszego życia umysłowego, kulturalnego i oczywiście także, ze stadium dekadencji w sferze twórczości, która właściwie poza nielicznymi przypadkami przestaje już być twórczością a staje się odtwórczością, powielaniem zastanych wzorów, odkrywaniem dawno znanych formuł i objawianiem rzeczy oczywistych. Ten stan rzeczy może właśnie jeden Sandauer miał odwagę nazywać po imieniu, przykładając do naszych współczesnych dokonania miarę bardziej wymagającą i miarę jednocześnie pozornie pomniejszającą, bo właśnie nie zaściankową, uniwersalną. Myślę, że pan Artur był jeden, bo nasza krytyka – uwikłana w przeróżne serwituty polityczne, w koteryjne daniny dyktowane układami, świadomie nielojalna wobec literatury, bo przekupna, merkantylna i asekurująca się na wszystkie strony, wołała dbać o siebie, aniżeli dbać o żywotność i wartość tego, co do jej obowiązków i kompetencji należało. Tutejsza polityka kulturalna nie ułatwiała, rzecz jasna, zadania krytyce, ułatwiała natomiast żywot samym twórcom, stwarzając sztuczne kryteria i w wielu przypadkach cieplarniany żywot samym twórcom, co posłuszniejszym, niszcząc natomiast nieposłusznych. Ten stan rzeczy moim zdaniem się nie zmienił, dlatego to stadium dekadencji trwa i trwać będzie tak długo, jak długo nie zaistnieją warunki dla wszelkiego rodzaju bezinteresowności i bezstronności. I teraz dochodzimy do sprawy najważniejszej, do próby odpowiedzi na pytanie,

jak w tych zdegenerowanych warunkach może dojść do procesów umysłowych, które w sferze twórczości mogą dać pożądane owoce. Wszystko jest przyziemne i strywalizowane. Egzystencja jednostki twórczej uwikłana jest w kłopoty materialne właściwie bez precedensu w historii kultury naszego narodu: znakomity poeta Józef Baran musi się martwić, nie o to, czy będzie mógł wysłać swoje córki na Maderę czy Riwierę, ale o to, czy on sam i jego rodzina wytrwa finansowo od pierwszego do pierwszego. Jego przyjaciele poeci też borykają się z tymi samymi kłopotami. Inni też. Jak można w takich warunkach spokojnie i skutecznie obudowywać siebie i swój wewnętrzny świat pewnym stylem (!) i światem równie poddanym głodowi kultury umysłu i bycia? Jak można takich warunkach dźwigać się w rejonu niezbędnej dla twórczości sublimacji i uogólnień szerszych i wyższych ponad codzienną egzystencję? (...)

Twórczość rodzi się z powszechnego udratyzowania ludzkiej egzystencji, ale ta dramaturgia życia, aby dać twórcze owoce musi przebiegać nieco powyżej gminnych problemów – dramaturgia Twojego osobistego życia musiałaby się dziać nieco ponad poziomem gminnym, bez względu na to, czy dotyczy rzeczywiście tylko Twoich problemów osobistych, czy też wykracza poza nie i obejmuje również rejon społeczne, narodowe i polityczne.

Tymczasem nasze codzienne boje dzieją się w świecie niezwykle uprzedmiotowionym, nasze życie polityczne dotyczy spraw materialnych, nasze rewindykacyjne zmagania dotyczą powszedniego chleba i powszedniej egzystencji, nasz patriotyzm determinowany jest też przez codzienną egzystencję i w gruncie rzeczy – w powszechnych zachowaniach kończy się tam, gdzie zaczyna się pełny brzuch, natomiast w sferze umysłowej też kończy się tam, gdzie zaczyna się oczywistość i banał, bo ludziom chowanym w tych warunkach wystarczy czuć banał. I teraz poprobujmy dojść do konkluzji, nie wyczerpując przecież żadną miarą liczby wszystkich banalizujących i trywializujących czynników, które sprawiają, że jest tak nieciekawie, jak jest. Ilu ludzi twórczych jest w stanie przebijać się latami, dziesięcioleciaми przez tę gminną dramaturgię życia, nie tracąc nic ze świeżości spostrzegania, nie tracąc sił i nie tracąc wiary w rzeczywisty rezonans swoich twórczych owoców, w świecie ludzi rozumiejących jedynie banał, trywialność i dramaturgię ich gminnej urzeczowionej egzystencji? Jak wielu ludzi zdołało tu coś istotnego po wojnie powiedzieć?

Z pewnością Miłosz, najprawdopodobniej dlatego, że wyrwał się z tego kręgu trywialności i dosłowności – bez względu na to jak wysoko ceni się poetykę Miłosza, choć nie we wszystkim, co napisał, zostanie, bo tknął świata uniwersalnego. Czy zdołał tego dokonać Herbert? Tego już nie wiem. To znaczy nie wiem, czy po zdjęciu z niego etykiety polskości ma szansę po pięćdziesięciu latach przetrwać.

cdn.